

Wanda Zniewierowska z domu Jeziorek

Wspomnienia

Mój Ojciec pochodził ze wsi Goźlin, niedaleko Małej Wsi i Wilgi. Poznał moją Mamę na dalekim froncie wschodnim I Wojny Światowej (Turkmenistan, Kazachstan), kiedy leżał ranny w szpitalu polowym, gdzie pielęgnowała żołnierzy. Pochodziła z Witebska, była sierotą, opowiadała że rodzice nie żyją od 1917 roku, a siostry nigdy nie odnalazła. Mówiła po rosyjsku, nie mówiła po polsku, nie była zbyt dobrze przyjęta przez rodzinę ojca. Nazywała się Romanowska z domu, a jej matka Faszczewska. Rodzice wydzierżawili część ziemi należącą do Taty i przeprowadzili się do Warszawy.

Urodziłam się 28 maja 1924 roku w Warszawie na terenie Sejmu, gdzie mój Ojciec Paweł Jeziorek, syn Grzegorza i Katarzyny z domu Tywonek pracował w tzw. Straży Marszałkowskiej, czyli był pracownikiem fizycznym. Potem dostaliśmy służbowe mieszkanie na Wrońskiego 15, na drugim piętrze. Tam sąsiadowaliśmy z rodziną Dybczyńskich z pierwszego piętra. Starszą panią Dybczyńską bardzo kochałam, nazywałam ją Babcią. Przeprowadziła się potem na ul. Mokotowską, gdzie ją czasem odwiedzałam i pomagałam z węglem. Lubiłam śpiewać i śpiewałam bardzo głośno ale nikt się nie skarżył.

Po pewnym czasie ojciec został zwolniony z pracy, ktoś z jego własnej rodziny doniósł nieprawdę, że ojciec jest bolszewikiem. Dzięki znajomemu postłowi zaczął pracować w policji, najpierw jako goniec, potem doszło sprzątanie i stróżowanie. Przenieśliśmy się do jednopokojowego mieszkania służbowego w budynku policji na Czerniakowskiej 88, po zniszczeniu pięter w czasie wojny do sutereny. Nasze mieszkanie to był jeden pokój z ciemnego korytarza, spałam na polówce przy ogromnej nieczynnej kuchni. To była dawna pralnia, mieszkali tam też inne rodziny, potem tylko my. Naprzeciwko mieściła się stołówka dla policjantów.

Chodziłam do szkoły podstawowej na Czerniakowską, potem przez Łazienki do Gimnazjum Roszkowskiej i Popielewskiej na Bagateli 15, do małej matury. To była wspaniała szkoła, uczyli nas wszystkiego, jeździliśmy na zielone szkoły do Miłosnej.

Ukończyłam gimnazjum już w czasie wojny. Geografii, łaciny, historii, literatury-przedmiotów zakazanych - uczono nas na tajnych kompletach, na które chodziliśmy z siostrą. Jeździłam na Siekierki nauczać małe dzieci o Polsce. Jeszcze przedtem, po kapitulacji w 1939 chodziłam do Szpitala Ujazdowskiego, na terenie tego szpitala mieszkała Zosia Kolanowska. Jej ojciec był wojskowym. Leżeli tam ranni żołnierze. Dla lotników organizowałam obiady od rodzin warszawskich, między innymi od mecenasa Mączyńskiego. Pewnego dnia, gdy jechałam tramwajem do szkoły ludzie zaczęli krzyczeć, że Niemcy otaczają okolicę, zatrzymują tramwaje i łapią do wywózki. Niewiele myśląc wyskoczyłam

w biegu i zakrwawiona, z rozdartą spódnicą pobiegłam do domu, gdzie rodzina przerażona wiadomością, która już do nich dotarła, powitała mnie jak zbawioną.

Był nakaz oddawać odbiorniki radiowe, składowali je właśnie na policji. Moja siostra Marianna w swoich wspomnieniach pamiętała, że ojciec ukradł jeden i słuchaliśmy radia londyńskiego.

Po gimnazjum, jako że licea ogólnokształcące Niemcy zamknęli, zdałam do Technikum Chemicznego na Hożej 88. Trochę ściągałam... Przedtem pracowałam, żeby uzupełnić lata nauki w laboratorium Kowalski i [nieczytelne]. Wykonywałam analizy medyczne. Przychodził tam Tuwim. W technikum wykładali znakomici profesorowie z Politechniki. Przyszli raz gestapowcy do technikum, zrobili kocioł, wszystkie książki i sprzęty poprzewracali, a nas ustawili w szeregach, kazali zdejmować buty i patrzyli w oczy kto zacznie panikować, tak szukali ulotek. Ktoś naiwnie zapytał czy możemy się rozejść, bo obiad. Gestapowiec powiedział: „Wam już obiad nie będzie potrzebny.” Pomyślałyśmy oczywiście, że oto po nas. W końcu nas puścili. Aresztowali dyrektora.

Oświadczył mi się policjant wysokiej szarży, nie ma mowy, powiedziałam, muszę się uczyć. Przez pewien czas otrzymywałam listy od pana Zająca, który wyjechał do Szwajcarii [Szwecji?] i przekazywałam je jego żonie, a mojej starszej przyjaciółce Mali Zając - Żydówce. Potem byłam u niej w getcie, kiedy jeszcze można było tam jeszcze wchodzić, zanieść chleb. Nie chciał mnie wypuścić z getta granatowy policjant, bo całowałam się z Małą na pożegnanie, wyklóciłam się, pokazałam legitymację szkolną.

Panował głód. Moja mama Zofia Jeziorek jeździła na wieś do rodziny ojca, przywoziła jabłka, jaja, masło, ogromne kubły śmietany, warzywa, rzadko mięso na handel. Nie tylko jeździła i płynęła na wieś, ale czasami chodziła 25 kilometrów pieszo. Pomagałam jej dźwigać ten towar do domu, czasami jeździłam z nią na wieś. Na osetki masła miała wszyte do palta specjalne kieszonki. Jedliśmy dużo potraw mącznych i ryby, głównie dorsze. Kiedyś nie było nic, musiałam zabić królika i nie potrafiłam się na to zdobyć, sąsiad przejął to okropne zadanie, dałam ojcu jeść. Królika nie tknęłam. Zawsze potem żałowałam że nie poczęstowałam sąsiada.

Do konspiracji wprowadził mnie w 1942 roku chłopiec mojej siostry Henryk Bułanowski, pseudonim „Wicher 1”, pracował o ile pamiętam w Bristolu, skąd donosił o Niemcach. Także mój chłopiec Tadzio Trębiński, pseudonim „Czambory”, należał do AK. Otrzymywałam prasę od Zbyszka i Ryszarda Krzemieniów. Ich ojciec Tadeusz ps. „Korwicz” został zamordowany w Alei Szucha na początku czerwca 1943 roku. W 1944 jego żona Maria Krzemień wznowiła działalność na Stępińskiej nr 41. Powstała tam baza zaopatrzenia i szkolenia sanitariuszek. W czasie Powstania Maria ps. Syrena wysyłała swoich synów pod osłoną nocy z opatrunkami i żywnością do walczących na Podchorążych, Suligowskiego i Nowosieleckiej. W AK byłam szkolona jako sanitariuszka, także w użyciu broni, w Zgrupowaniu Bem, pod dowództwem porucznika Teofila Świerczyńskiego, „Habdanka”,

także podpułkownika Aleksandra Hryniewicza, ps. „Przegonia”, w mieszkaniu na Nowosieleckiej 14. Tam zgłosiłam się o 17, 1 sierpnia 1944 roku. Łżej rannych opatrywałam na miejscu, a ciężej rannych pomagałam przenosić do prowizorycznego szpitala w Klasztorze Nazaretanek. Sporo żołnierzy naszej grupy poległo. Wskutek bliskości koszar niemieckich, dużych strat w ludziach, braku broni i amunicji akcja nie powiodła się. [...] Szczególnym bohaterstwem wykazali się „Wicher 1” [Henryk Bułanowski] i „Wicher 2”. W godzinie W rodzice nie wiedzieli co się ze mną stało. Znikłam z domu, wróciłam późną nocą, zakrwawioną od rannych.

Mój chłopak zginął w pierwszych dniach Powstania. Ale tego jeszcze nie wiedziałam. Bułanowski został ranny, ale walczył dalej, potem wszystko padło. Również znajomy pan Edward Śliwka, ps. „Róg” był ranny, zmarł 8 sierpnia, jego 17-letni syn Lesio został zamordowany w Mauthausen, opisała to w liście moja koleżanka Krysia Śliwkówna, wywieziona do Niemiec, gdzie poznała swojego męża o nazwisku Retière i pojechała z nim do Francji do Nantes.

Bułanowski przychodził do naszej rodziny. W dniu 19 sierpnia Niemcy wypędzili nas na Pola Siekierkowskie, gdzie byliśmy ostrzeliwani przez własowców zajmujących stację pomp na Czerniakowskiej. Przyszedł Niemiec i powiedział: „Uciekajcie, ta ulica będzie zniszczona”. Siostra pamiętała, że Ojciec wcześniej już wybił drzwi w tylnej ścianie domu na wszelki wypadek i tymi zapasowymi drzwiami uciekliśmy na Siekierki. Dom Niemcy natychmiast spalili. Z drugiej strony ulicy ludzie brali do Pruszkowa i do obozów. Szliśmy wygnani. Musieliśmy padać i leżeć w błocie, bo strzelali do nas własowcy (sowieci zza Wisły?). Dotarliśmy do koleżanki siostry, Janki Jędrzychówny, na ulicę Gościniec. Dotarł tam też Heniek Bułanowski. Siedzieliśmy przed domem, musnęła nas zabłąkana kulka, nie zabiła

Zabito Niemca. 27 sierpnia [26 VIII] Niemcy aresztowali mężczyzn, w tym mojego ojca i Heńka Bułanowskiego, pognali ich gdzieś, może w Aleję Szucha, rozstrzelali i najpewniej spalili. Chodziłam w Aleję Szucha, było mi wszystko jedno co ze mną zrobią, błagałam, żeby mi tylko powiedzieli gdzie jest pochowany, żebym chociaż kwiaty mu położyła, udawali, że nic nie wiedzą.

Na Siekierkach znowu przyszedł Niemiec, powiedział: Tu zaraz będzie front, idźcie. Szłyśmy, już bez ojca, bez narzeczonego siostry, mama, siostra i ja, przed siebie. Płakałyśmy. Kiedy się odwróciłyśmy, zobaczyłam moją ukochaną Warszawę całą w ogniu. Serce pękało mi z rozpacz.

Dotarliśmy na Wolicę. Z Wolicy zrozpaczona stratą ojca wróciłam jeszcze raz do Warszawy a Niemcy jeszcze tam byli, jeszcze nie uciekli. Napotkałam ich, jeden wycelował karabin w moja stronę, powiedział: „Stój, dokąd idziesz?” Powiedziałam, że idę szukać ojca. On mówi: „Nie idź dalej, tam są własowcy, zastrzelą cię”. Musiałam zawrócić.

Przygarnęła nas rodzina hodowców warzyw, mieszkaliśmy w jednym pokoju w cztery rodziny, po pewnym czasie zostaliśmy tylko my. Był głód, przyznaję, że podkradałam cebulę i jadłam ją ot, tak.

Zagnali nas do kopania ziemniaków. Nie chciałam iść, schowałam się na strychu. Własowiec znalazł mnie tam i chciał zastrzelić. [Tutaj wspomnienia mamy i cioci zlewają się co do jednej sceny: z całą pewnością Babcia Zofia pada do nóg własowcowi i błaga po rosyjsku żeby oszczędził jej córkę, tylko zdaje się, że to nie Mameę, ale Ciocię i w innym momencie wojny. Lub też zdarzyło się to niestety nie tylko raz].

Niemcy kazali mi sprzątać bunkier. Zobaczył mnie starszy Niemiec, pastor, i stamtąd odesłał. Inny chciał iść ze mną do kościoła! Oczywiście nie zgodziłam się.

Po tym, jak armia sowiecka przegnała Niemców, wróciłam do Warszawy. Miejscami szłam po trupach jak po schodach. Mróz, śmierć, ruiny. Ruiny domu na Wrońskiego. Spałam na gołej ziemi, w szkielecie mieszkania bez drzwi i okien, gotowałam na gazetach tapiokę zostawioną przez Niemców. W międzyczasie wracali sąsiedzi. Było mi różnie. Krążyłam między Warszawą a Wolicą, siostra miała poparzoną nogę, Niemiec potracił ją i wrząca woda wylała się na nią, Mama ją pielęgnowała.

Ostatni raz widziałam się z Tadzikiem [Tadeuszem Trębińskim] w poniedziałek pod balkonem na Pięknej 24. Potem mieliśmy umówione spotkanie w środę, ale w środę już go nie zobaczyłam, to było 1 sierpnia. Już nie zobaczyłam go nigdy. Zginął w Alei Róż, w ósmym dniu Powstania. Po wojnie szłam Piękną i weszłam w podwórko, bo słyszałam, że coś się działo. Ekshumowano właśnie poległych i czy można to sobie wyobrazić? Słyszę nazwisko Trębiński, wołam, że wiem kto to. Powiedzieli, że dokumenty przekażą do Czerwonego Krzyża, ale tam po dwóch dniach nie chcieli mi ich wydać, bo nie byłam z rodziny. Rodzina nie odebrała z jakichś powodów, dokumenty zaginęły, szczątki Tadzika zostały pogrzebane jako „NN”.

Po wojnie pracowałam w Instytucie Chemii Przemysłowej po krótkiej pracy na Politechnice i w tzw. Instytucie Mechaniki Precyzyjnej, czyli materiałów wybuchowych, tam np. moja koleżanka straciła rękę przy pracy i dodatkowo oskarżono ją o sabotaż i wyrzucono. Na szczęście znajomy był w stanie załatwić mi pracę w Instytucie Chemii Przemysłowej na Rydygiera, tam się odnalazłam zawodowo.

W 1958 roku poznałam Wiktora Zniewierowskiego, pochodzącego z Kresów, wziętego przez Sowietów w Kozielsku i Griazowcu, żołnierza 2 Korpusu Armii Kresowej Andersa, uczestnika bitew o Ankonę, Bolonię i Monte Cassino, odznaczonego Virtuti Militari. (Jego brat był zawodowym wojskowym, legionistą Piłsudskiego, wysiedlony z Kresów i Gdańska, zmarł w Warszawie). Wiktor przybył z USA, nie mógł dostać pracy i nie miał gdzie mieszkać. Pobraliśmy się szybko. Urodziły nam się dwie córki, Anna i Małgorzata.

Wspomnienia oparte są na dokumentach przedstawionych Związкови Kombatantów, listach Wandy Jeziorek-Zniewierowskiej, opowieściach we wspomnieniach naszych z dzieciństwa, oraz nagranych w 2007 roku przez Marka Jeziorka wspomnieniach Mamy i Cioci. Podpisane własnoręcznie przez Mamę: Wanda Zniewierowska z domu Jeziorek, lat 95.

Opracowała dla Muzeum Powstania Warszawskiego:
Anna Zniewierowska-Chruściel

Wanda Zniewierowska, urodzona w Warszawie 28 maja 1924 roku, zmarła w Warszawie 18 stycznia 2023 roku, pochowana została na Starych Powązkach.